



BRUNO SCHULZ

Ptaki

BRUNO SCHULZ

SKLEPY CYNAMONOWE

Ptaki

Nadeszły żółte, pełne nudy dni zimowe. Zrudziałą ziemię okrywał dziurawy, przetarty, za krótki obrus śniegu. Na wiele dachów nie starczyło go i stały czarne lub rdzawe, gontowe strzechy¹ i arki², kryjące w sobie zakopcone przestrzenie strychów — czarne, zwęglone katedry, najeżone żebrami krokwi³, płatwi⁴ i bantów⁵ — ciemne płuca wieczorów zimowych. Każdy świt odkrywał nowe kominy i dymniki wyrosłe w nocy, wydęte przez wichry nocny, czarne piszczalki organów diabelskich. Kominiarze nie mogli opędzić się od wron, które na kształt żywych czarnych liści obsiadały wieczorem gałęzie drzew pod kościołem, odrywały się znów, trzepocąc, by wreszcie przyłgnąć, każda do właściwego miejsca na właściwej gałęzi, a o świcie ulatywać wielkimi stadami — tumany sadzy, płatki kopci, falujące i fantastyczne, plamiąc migotliwym krakraniem mętnożółte smugi świtu. Dni stwardniały od zimna i nudy, jak zeszłoroczne bochenki chleba. Napoczynano je tępyimi nożami, bez apetytu, z leniwą sennością.

Ojciec nie wychodził już z domu. Palił w piecach, studiował nigdy nie zgłębioną istotę ognia, wyczuwał słony, metaliczny posmak i wędzony zapach zimowych płomieni, chłodną pieszczotę salamander, liżących błyszczącą sadzę gardzieli komina. Z zamilowaniem wykonywał w owych dniach wszystkie reparatury w górnych regionach pokoju. O każdej porze dnia można go było widzieć, jak — przykucnięty na szczycie drabiny — majstrował coś przy suficie, przy karniszach wysokich okien, przy kulach i łańcuchach lamp wiszących. Zwyczajem malarzy posługiwał się drabiną jak ogromnymi szrudłami i czuł się dobrze w tej ptasiej perspektywie, w pobliżu malowanego nieba, arabesk⁶ i ptaków sufitu. Od spraw praktycznego życia oddalał się coraz bardziej. Gdy matka, pełna troski i zmartwienia z powodu tego stanu, starała się go wciągnąć w rozmowę o interesach, płatnościach najbliższego ultimo⁷, słuchał jej z roztargnieniem, pełen niepokoju, z drgawkami na nieobecnej twarzy. I bywało, że przerywał jej nagle zaklinającym gestem ręki, ażeby pobiec w kąt pokoju, przyłgnąć uchem do szpary w podłodze i z podniesionymi palcami wskazującymi obu rąk, wyrażającymi najwyższą ważność badania — nasłuchiwać. Nie rozumieliśmy wówczas jeszcze smutnego tła tych ekstrawagancji, oplakanego kompleksu, który dojrzewał głębi.

Matka nie miała nań żadnego wpływu, natomiast wielką czcią i uwagą darzył Adelę. Sprzątanie pokoju było dlań wielką i ważną ceremonią, której nie zaniedbywał nigdy być świadkiem, śledząc z mieszaniną strachu i rozkosznego dreszczu wszystkie manipulacje Adeli. Wszystkim jej czynnościom przypisywał głębsze, symboliczne znaczenie. Gdy dziewczyna młodymi i śmiałymi ruchami posuwała szcztokę na długim drążku po podłodze, było to niemal ponad jego siły. Z oczu jego lały się wówczas łzy, twarz zanosila się od cichego śmiechu, a ciałem wstrząsał rozkoszny spazm orgazmu. Jego wrażliwość na laskotki dochodziła do szaleństwa. Wystarczyło, by Adela skierowała doń palec ruchem oznaczającym laskotanie, a już w dzikim popłochu uciekał przez wszystkie pokoje,

Ojciec, Kobieta
demoniczna, Seks

¹gontowa strzecha — dach pokryty nachodzącymi na siebie deseczkami. [przypis edytorski]

²ark — tu: luk. [przypis edytorski]

³krokiew — pochyła belka podtrzymująca dach. [przypis edytorski]

⁴płatew — poprzeczna belka podtrzymująca krokwie. [przypis edytorski]

⁵bant — wspornik. [przypis edytorski]

⁶arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych. [przypis edytorski]

⁷ultimo — ostatni dzień miesiąca, termin regulowania rachunków i innych należności. [przypis edytorski]

zatraskując za sobą drzwi, by wreszcie w ostatnim paść brzuchem na łóżko i wic się w konwulsjach śmiechu pod wpływem samego obrazu wewnętrznego, któremu nie mógł się oprzeć. Dzięki temu miała Adela nad ojcem władzę niemal nieograniczoną.

W tym to czasie zauważyliśmy u ojca po raz pierwszy namiętne zainteresowanie dla zwierząt. Była to początkowo namiętność myśliwego i artysty zarazem, była może także głębsza, zoologiczna sympatia kreatury dla pokrewnych, tak odmiennych form życia, eksperymentowanie w nie wypróbowanych rejestrach bytu. Dopiero w późniejszej fazie wzięła sprawa ten niesamowity, zaplątany, głęboko grzeszny i przeciwny naturze obrót, którego lepiej nie wywlekać na światło dzienne.

Zaczęło się to od wylęgania jaj ptasich.

Z wielkim nakładem trudu i pieniędzy sprowadzał ojciec z Hamburga, z Holandii, z afrykańskich stacji zoologicznych zapłodnione jaja ptasie, które dawał do wylęgania ogromnym kurom belgijskim. Był to proceder nader zajmujący i dla mnie — to wykluwanie się piskląt, prawdziwych dziwotworków w kształcie i ubarwieniu. Niepodobna było dopatrzeć się w tych monstrach o ogromnych, fantastycznych dziobach, które natychmiast po urodzeniu rozdzierały się szeroko, rycząc żarłocznie czeluściami gardła, w tych jaszczurach o wątłym, nagim ciele garbusów — przyszłych pawi, bażantów, głuszców i kondorów⁸. Umieszczony w koszykach, wacie, smoczy ten pomiot podnosił na cienkich szyjach ślepe, bielmem zarosłe głowy, kwacząc bezgłośnie z niemych gardzieli. Mój ojciec chodził wzdłuż półek w zielonym fartuchu, jak ogrodnik wzdłuż inspektów z kaktusami, i wywabiał z nicości te pęcherze ślepe, pulsujące życiem, te niedołężne brzuchy, przyjmujące świat zewnętrzny tylko w formie jedzenia, te narośle życia, pnące się omackiem ku światłu. W parę tygodni później, gdy te ślepe pączki życia pękły do światła, napęliły się pokoje kolorowym pogwarem, migotliwym świergotem swych nowych mieszkańców. Obsiadały one karnisze firanek, gzymsy szaf, gnieździły się w gęstwinie cynowych gałęzi i arabesek wieloramiennych lamp wiszących.

Gdy ojciec studiował wielkie ornitologiczne kompendia i wertował kolorowe tablice, zdawały się ulatywać z nich te pierzaste fantazmaty i napęlić pokój kolorowym trzepotem, płatkami purpury, strzępami szafiru, grynszpanu⁹ i srebra. Podczas karmienia tworzyły one na podłodze barwną, falującą grządkę, dywan żywy, który za czymś niebaczny wejściem rozpadał się, rozlatywał w ruchome kwiaty, trzepocące w powietrzu, aby w końcu rozmieścić się w górnych regionach pokoju. W pamięci pozostał mi szczególnie jeden kondor, ogromny ptak o szyi nagiej, twarzy pomarszczonej i wybujałej naroślami. Był to chudy asceta, lama¹⁰ buddyjski, pełen niewzruszonej godności w całym zachowaniu, kierujący się żelaznym ceremoniałem swego wielkiego rodu. Gdy siedział naprzeciw ojca, nieruchomy w swej monumentalnej pozycji odwiecznych bóstw egipskich, z okiem zawleczonym białawym bielmem, które zasuwiał z boku na źrenice, ażeby zamknąć się zupełnie w kontemplacji swej dostojnej samotności — wydawał się ze swym kamiennym profilem starszym bratem mego ojca. Ta sama materia ciała, ścięgien i pomarszczonej twardej skóry, ta sama twarz wyschlą i koścista, te same zrogowaciałe, głębokie oczodoły. Nawet ręce, silne w węzłach, długie, chude dłonie ojca, z wypukłymi paznokciami, miały swój analogon¹¹ w szponach kondora. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, widząc go tak uspiętego, że mam przed sobą mumię — wyschlą i dlatego pomniejszoną mumię mego ojca. Sądzę, że i uwagi matki nie uszło to dziwne podobieństwo, chociaż nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Charakterystyczne jest, że kondor używał wspólnego z moim ojcem naczynia nocnego.

Nie poprzestając na wylęganiu coraz nowych egzemplarzy, ojciec mój urządzał na strychu wesela ptasie, wysyłał swatów, uwiązywał w lukach i dziurach strychu ponętne, stęsknione narzeczone i osiągnął w samej rzeczy to, że dach naszego domu, ogromny, dwuspadowy dach gontowy, stał się prawdziwą gospodą ptasią, arką Noego, do której zlatywały się wszelkiego rodzaju skrzydłacze z dalekich stron, nawet długo po zlikwidowaniu ptasiego gospodarstwa utrzymywała się w świecie ptasim ta tradycja naszego

Ojciec, Ptak

Ojciec, Ptak, Szaleństwo,
Czary

⁸kondor — duży ptak występujący w Ameryce Południowej, drapieżnik i padlinożerca. [przypis edytorski]

⁹grynszpan — jasnozielony nalot na miedzianej powierzchni. [przypis edytorski]

¹⁰lama — tybetański lub mongolski mnich buddyjski. [przypis edytorski]

¹¹analogon — odpowiednik. [przypis edytorski]

domu i w okresie wiosennych wędrówek spadały nieraz na nasz dach całe chmary żurawi, pelikanów, pawi i wszelkiego ptactwa.

Impreza ta wzięła jednak niebawem — po krótkiej świetności — smutny obrót. Wkrótce okazała się bowiem konieczna translokacja ojca do dwóch pokoi na poddaszu, które służyły za rupieciarnie. Stamtąd dochodził już o wczesnym świcie zmieszany klangor¹² głosów ptasich. Drewniane pudła pokoi na strychu, wspomagane rezonansem przestrzeni dachowej, dźwięczały całe od szumu, trzepotu, piania, tokowania i gulgotu. Tak straciliśmy ojca z widoku na przeciąg kilku tygodni. Rzadko tylko schodził do mieszkania i wtedy mogliśmy zauważyć, że zmniejszył się jakoby, schudł i skurczył. Niekiedy przez zapomnienie zrywał się z krzesła przy stole i trzępiąc rękoma jak skrzydłami, wydawał pianie przeciągłe, a oczy zachodziły mu mgłą bielma. Potem, zawstydzony, śmiał się razem z nami i starał się ten incydent obrócić w żart.

Pewnego razu w okresie generalnych porządków zjawiała się niespodzianie Adela w państwie ptasim ojca. Stanąwszy we drzwiach, załamała ręce nad fetorem, który się unosił w powietrzu, oraz nad kupami kału, zalegającego podłogi, stoły i meble. Szybko zdecydowana, otworzyła okno, po czym przy pomocy długiej szczotki wprawiła całą masę ptasią w wirowanie. Wzbił się piekielny tuman piór, skrzydeł i krzyku, w którym Adela, podobna do szalejącej Menady¹³, zakrytej młynkiem swego tyrsu, tańczyła taniec zniszczenia. Razem z ptasią gromadą ojciec mój, trzępiąc rękoma, w przerażeniu próbował wzniesić się w powietrze. Z wolna przeredzał się tuman skrzydlaty, aż w końcu na pobojowisku została sama Adela, wyczerpana, dysząca, oraz mój ojciec z miną zafrasowaną i zawstydzoną, gotów do przyjęcia każdej kapitulacji.

W chwilę później schodził mój ojciec ze schodów swojego dominium¹⁴ — człowiek złamany, król-banita, który stracił tron i królowanie.

Walka, Ptak

Ojciec, Wygnanie

¹²klangor — odgłos lecących ptaków. [przypis edytorski]

¹³menady a. bachantki (mit. grec.) — towarzyszkę Dionizosa (Bachusa), boga wina, szalone kobiety tworzące jego orszak. [przypis edytorski]

¹⁴dominium — teren podlegający czyjejś władzy. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sklepy-cynamonowe-ptaki>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, red. Zofia Smyk, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: Double--M@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.